

# STRACENÍCY

A man in a dark jacket is running towards the camera in a dark, foggy street at night. In the background, another person is walking away. The scene is lit with dramatic, low-key lighting, creating a sense of urgency and mystery.

**INGAR  
JOHNSRUD**

FREDRIK BEIER I KAFA IQBAL POWRACAJĄ  
W NAPAKOWANYM AKCJĄ I EMOCJAMI  
THRILLERZE





INGAR  
JOHNSRUD  
STRACENICY

TŁUMACZENIE  
MARIA GOŁĘBIEWSKA-BIJAK

  
OTWARTE  
KRAKÓW 2017

Tytuł oryginalu: *Kalypso*

Copyright © Ingar Johnsrud 2016

Published by agreement with Salomonsson Agency

Copyright © for the translation by Maria Gołębowska-Bijak

Opieka redakcyjna: Olga Orzel-Wargskog

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Anna Brynkus-Weber / d2d.pl

Korekta: Małgorzata Poździk / d2d.pl,  
Anna Woś / d2d.pl

Łamanie: Małgorzata Poździk / d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: biegnący mężczyzna – © ostill / Shutterstock.com,  
człowiek na peronie – © Amy Johansson / Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-159-6



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

*Za każdym razem, kiedy pojawiała się nowa szczepionka lub nowa metoda leczenia danej choroby, udawaliśmy się do laboratoriów, żeby głowić się, jak kurację uczynić nieskuteczną.*

Ken Alibek, były wicedyrektor tajnego programu wytwarzania broni biologicznej „Biopreparat” w ZSRR, w książce *Biohazard*, tłum. Tomasz Lem, Warszawa 2000, s. 24



# **CZĘŚĆ I**



## ROZDZIAŁ 1

*Oslo, osiem lat wcześniej*

Tak się dzieje każdego lata. W niektóre dni kraj opanowuje tak tropikalny upał, że powietrze aż drży. Asphalt wypaca z siebie ropę, tramwaje odparowują ciała, a Norwegowie zapominają, gdzie mieszkają, i przeklinają gorąco.

Zimą rachunki się wyrównują.

Było tak bardzo zimno, że gdy Fredrik Beier podniósł rękę i zastukał do drzwi, rozległ się chrzęst skórzanej kurtki od munduru. Szczelne zasłony nie pozwalały zajrzeć przez okna pomalowanego na żółto drewnianego domu na Galgebergu, budowli z czasów, gdy miasto nazywało się Kristiania, a ścieki płynęły ulicznymi rynsztokami. Z komina jednak unosił się dym. Sąsiedzi wyjaśnili, że krzyki ustały pół godziny wcześniej.

Policjant spojrział przez ramię. Za nim stał kolega – Andreas Figueras. Okulary ziębiły grzbiet nosa, a kiedy Fredrik przeciągnął językiem po kącikach ust, roztopiły się grudki lodu na wąsach. Mieszkanie pochodziło z zasobów dzielnicowego ośrodka opieki nad rodziną, a zasiedlali je Rosjanka z synem. Mężczyzna, od którego uciekli, był

ojcem chłopca, z zawodu farmaceutą, a nazywał się Peder Rasmussen.

Nie jest to nazwisko, które zapada w pamięć.

Chłopaczek, który otworzył drzwi, nie wyglądał, jakby był w wieku szkolnym, choć Fredrik wiedział, że ma osiem lat. Kiedy policjant uniósł głowę, by zlustrować mroczny korytarz, owionęła go gorąca para.

Andreas chyba dostrzegł kontury postaci w niskich drzwiach pokoju dziecięcego. Zapewne odnotował również, że mężczyzna unosi rewolwer, i pojął, że czerwone plamy na jego koszuli to krew. A para bierze się z otwartego prysznicza w łazience. Fredrik niczego nie widział przez zamglone szkła okularów. Kiedy uniósł ręce do twarzy, silna dłoń chwyciła go za połę kurtki i wciągnęła do holu. Niepewny dotyk palców Andreeasa na ramieniu zniknął, a uderzenie kolby rewolweru w czoło posłało Fredrika na kolana.

Rozległ się huk zatrzaskujących się drzwi, usłyszał jeszcze gwizd oddechu przestraszonego chłopca, potem ściany się zawaliły.

Wilgotna, lepka powłoka na czole. Wilgoć sływa po szyi ku miejscu, gdzie uciska koszula od munduru, i po plecach. Mokre stopy rozpływają się w ocieplanych zimowych butach. Z głośnym świstem zaczerpnął powietrza, ale w usta zassał tylko ciemny materiał worka, który naciągnięto mu na głowę, i poczuł, że ogarnia go klaustrofobia. Próbował kopać, ale nogi miał związane jak baleron, ręce zaś... ręce także spętane i ściśle przyklejone taśmą do pleców. Ostre włókna wykładziny kłuły go w palce. Wyprostował się, potem zwinął w kłębek, wyginając plecy w łuk. Niemal pociemniało mu przed oczami, nim zdołał się pozbierać. Omijać płomieniste błyskawice pod powiekami. Liczyć. Powoli. Wstrzymać oddech, nabrać powietrza, wstrzymać oddech, wypuścić powietrze. Czekać.

Kolba musiała uderzyć u nasady włosów, bo stamtąd rozchodziły się fale bólu. Teraz, kiedy leżał bez ruchu, ból najpierw przybrał na sile, a potem ucisk wokół czaszki zelżał. Płuca napelniały się powietrzem. Kontrolował oddech, kontrolował ciało i umysł. Puls się wyrównał.

Fredrik nasłuchiwał. Dotarło do niego wesołe półprzytomne nucenie i bębnienie strumienia wody z prysznicy o emaliowany metal. Rozpoznał melodię z *Marynarza Popeye'a*.

*„I'm Popeye the Sailor Man, I'm Popeye the Sailor Man. Hmm mmm mmm hmm. I'm Popeye the Sailor Man. Tut tut!”*

Pojął, że leży w korytarzu, napastnik zaś urzęduje w łazience. Miał wrażenie, że nadgarstki mu się lepia, i zadrżał. Czyżby podcięto mu żyły? A potem uświadomił sobie, że w gorączkowym miotaniu się z całej siły napinał wszystkie mięśnie i poluzował taśmę. Para nieco zmiękczyła klej, który stał się lepki i lekko puścił. Fredrik zaczął ostrożnie pocierać dłońią o dłoń.

– Tato? Chyba teraz idą. – Wysoki głosik dobiegł z drugiego końca korytarza. Chłopiec musiał stać przy drzwiach.

– Tut, tut! – mruknął męski głos. – Wskakuj tutaj.

Fredrik usłyszał odgłos skoku i został podniesiony do siadu. Mężczyzna stanął nad nim w rozkroku i usunął mu z głowy powłóczkę na poduszkę. Fredrik z trudem ominął wzrokiem krople krwi na szklach okularów.

Boże drogi!

Farmaceuta Peder Rasmussen był starszy od niego, mocarny, z ciosanymi mięskami barków i byczym karkiem. Był bez koszuli, klatkę piersiową miał poplamioną krwią. Przysiadł okrakiem na udach Fredrika, ciemne, usztynnione żelatyną włosy opadały mu na zezujące oczy. Między kłębem a siekaczem ukazała się kropelka krwi, pewnie tak mocno zacisnęła szczęki, że wgniół zęby w dziąsła. Z całej

siły dusił Fredrika kołnierzem koszuli i wymachiwał trzymanym w drugiej ręce rewolwerem.

Fredrik był zwrócony plecami do drzwi wejściowych, pojął jednak, że za zasłonami na zewnątrz coś się dzieje, bo Rasmussen miał rozbiegany wzrok.

– Rozwalę łeb temu psu! – zawołał. – Tkniecie drzwi, to zdmuchnę mu czachę!

Lufa przy skroni. Odór potu, ciężki oddech i mięta. Oczy Fredrika po raz pierwszy napotkały wzrok tego człowieka. Szukały w nim intelektualisty, naukowca, za którego uchodził Peder Rasmussen, ale nie znalazły ani śladu. Tylko oblęd.

Koniuszek języka zawadził o kroplę krwi w ustach i rozsmarował ją różową powłoką na zębie. Mężczyzna zbadał jej smak, a potem zasyczał:

– Poważnie. Niech mnie diabli, obryzgam te pieprzone cipy twoim mózgiem, jak się stąd nie zmyją.

– Tato... jego ręce...

– Peder Rasmussen! – rozległo się za drzwiami. – Peder Rasmussen!

Ułamek sekundy wahania. Chyba teraz. Bóg jeden wie, co temu wariatowi przyszło do głowy, gdyby się zorientował, że Fredrik ma wolne ręce. Z całej siły cofnął tors na ścianę i wycelował w rękę z rewolwerem. Trafił w nadgarstek. Broń uderzyła w ścianę. Fredrik obiema rękami chwycił głowę napastnika i przyciągnął ją do siebie.

– Już! – krzyknął. – Nie ma broni! Wchodźcie!

Czoło mężczyzny trafiło Fredrika w nos, pękło naczynko, ale Fredrik trzymał, szukał zębami kawałka skóry, bił pięściami po uszach, sięgał do gardła, ugryzł i poczuł smak krwi.

Hałas otwieranych kopniakiem drzwi dobiegł z oddali, blisko zaś zabrzmiał przestraszony, cienki chłopięcy głosik.

– Stój! Bo strzelam!

Powiew zimna nie pojawił się od drzwi. Zrodził się w żołądku. Chwył, którym Fredrik trzymał Pedera Rasmussena za gardło, zelżał. Usta się rozwarły. Fredrik odwrócił głowę, charknął i wypluł krew. Potwór, który na nim leżał, tylko się gapił.

Między nimi a wejściem na sztywnych, ustawionych obok siebie nogach chwiał się chłopiec z rewolwerem uniesionym w wyprostowanych, kredowobiałych małych dłoniach. W drzwiach stało trzech policjantów z oddziału specjalnego – ubranych na czarno, w kominiarkach, z bronią gotową do strzału. Był tam też Andreas. Jego kurtka mundurowa opinała się na kamizelce kuloodpornej.

– Stoimy – odezwał się jeden z policjantów. Spokojnie. Z niezmiernym spokojem. – Wycofamy się, chłopcze. Nie strzelaj. Nie zrobimy wam nic złego.

Dopiero co wpadli tu z rozpędem. Teraz cofali się – cicho, ostrożnie, uważnie.

– Zastrzel te psy! Zastrzel ich! – ryknął potwór. Okrzyk pełen szaleństwa, żółci i plwocin.

– Nie...

– Tato...

– Strzelaj!

## ROZDZIAŁ 2

### *Obecnie*

Wraz z jesienią nadciągnął deszcz, a z nim wiatr, z wiatrem zaś spadały liście.

Mimo to szalony oberwaniec dreptał między nagrobkami i nie przestawał grabić. W zbrązowiałe strzępy wciskał tępe zęby grabi, ściągał z nich liście ręką i wpychał do wleczonego za sobą worka na śmieci.

– Godne pożałowania – mruknął mężczyzna, który nazywał się Mikael Morenius.

Pożółkły niedopalek syknął w zetknięciu z asfaltem. Mikael przydeptał go i z irytacją stwierdził, że wilgoć przeniknęła do skórzanych butów.

Kroki, które usłyszał na parkingu za plecami, były krótkie i przypominały szuranie. Przerwał je silny atak kaszlu. Mikael odwrócił się do przybysza – starszego, krępego mężczyzny, który wspierał się o dach zajeżdżonego niebieskiego fiata i odpluwał w chusteczkę. Odczekał, aż charkot ustanie i dopiero podszedł. Wyciągnął rękę na powitanie.

Mężczyzna tylko na niego spojrział i chwycił martwą dłoń. Potem wsiedli do białego jak kreda bmw.

- Czort! - wychrypiał stary i przyłożył chusteczkę do nosa, szukając po omacku guzika do otwierania okna. - Śmierdzi tutaj - dodał z wyraźnym rosyjskim akcentem.

- Pałę w samochodzie - odparł Mikael.

- To mi nie przeszkadza.

- W takim razie to kocięta.

Mikael przekręcił odrobinę kluczyk i szyba opadła jak na komendę. Sam prawie nie miał wężchu. Zniknął, gdy lekarze amputowali mu ramię. Nikt nie potrafił wytłumaczyć, w jaki sposób jedno wiązało się z drugim.

Rosjanin uchylił tylko szparę.

- Jakaś kotka zrobiła sobie pod maską izbę porodową. Małe usmażyły się w bloku silnika - wyjaśnił Mikael.

Dopiero gdy zgasło światło, Rosjanin wydobył z wewnętrznej kieszeni kopertę.

- Proszę. Dowód, że mówię prawdę.

- Dowód - powtórzył Mikael, odbierając ją.

Niezgrabnie ścisnął protezą boki, by przedmiot wysunął się z koperty. Zważył go w dłoni. Przetarł rubiny czubkiem palca. Postukał paznokciem w błyszczące złoto obramowania. Kacze serce. *Le Coeur de Canard*.

Przez chwilę obserwowali wędrówkę chmur po niebie i niezmordowaną walkę samotnego mężczyzny z jesienią. Mikael wręczył Rosjaninowi telefon i skinął głową.

- Ona czeka.

Stary oficer otworzył drzwi i wysiadł. Kiedy rozmawiał, Mikael założył klejnot. Wyprostował się na siedzeniu, żeby poczuć na piersi ciężar zimnego metalu i kamieni szlachetnych. Poczuć złoty łańcuszek, który odnalazł swoje miejsce między kręgami karku. Wreszcie.

Rosjanin rozkaszłał się, gdy wsiadł na powrót.

- Nie będzie zwłoki?

Mikael potrząsnął głową.

– Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą... To uratował pan życie wielu ludzi. – Jego głos przybrał rzeczowy ton. – Wiemy, jak wyrazić naszą wdzięczność.

Samochód odjechał, a mężczyzna między grobami przestał grabić. Podniósł worek na śmieci i wysypał liście na ziemię. Potem włożył do środka rękę i wyciągnął przedmiot, który tam pozostał. Czekan. Na stali załśniły krople deszczu. Mocując się z zamkiem fiata, powtarzał w duchu numer rejestracyjny bmw.

### ROZDZIAŁ 3

Tłumiące lęk. Niepokojący. Uspokajające. Funkcja oddychania. Sytuacja życiowa.

Szpital. Rikshospitalet.

Słowa spływały po szybie okna. Rysowały się na zaparowanej powierzchni, a potem kropelki się łączyły i pozostawały tylko nagie korony drzew wygrawerowane na tle grafitowego październikowego nieba w Oslo. Taśma mocująca bandaż z tyłu głowy szarpnęła włosami na karku, gdy nadkomisarz Fredrik Beier niechętnie odwrócił głowę w stronę lekarki.

– Analizy krwi wykazały środki tłumiące lęk i znaczne ilości leków przeciwbólowych. Oraz alkohol. Dużo alkoholu.

Stała obok łóżka, prostokątne okulary przesunęła nad czoło. Teraz przeciągała pomalowanym na czerwono paznokciem po szerokim grzbiecie nosa, czytając kartę pacjenta. Nie patrzyła na niego.

– Najważniejsze dla pana, pańskiego terapeuty i pańskich... – lekarka zawahała się, spoglądając na obie kobiety

siedzące na krzeselkach w niewielkim pokoju chorego – ... bliskich jest znalezienie przyczyny zaistniałej sytuacji. Oraz podjęcie działań, aby się nie powtórzyła. – Potarła nos do białości. – Tu jest kilka informacji o samobójstwie i depresji. – Mówiąc to, wsunęła parę broszur pod leżące na nocnym stoliku okulary. I wyszła.

Fredrik Beier słyszał kiedyś, że pacjenci tego szpitala mieli prawo sami wybierać sobie obrazy na ściany w pokojach. Teraz zastanawiał się, kto miał ten pokój przed nim. Kto wybrał dwóch roześmianych klaunów balansujących na linie nad autostradą? Najwyraźniej ktoś dużo bardziej w to umoczony niż on. Starał się opowiedzieć jakiś dowcip, ale słowom brakło przekonania.

Kobieta siedząca pod bohomasem nie uśmiechnęła się – Bettina, jego partnerka, tylko na niego patrzyła. Naciągnęła robiony na drutach sweter na ramiona, jakby jej było zimno, i obracała nitkę z rękawa między palcami. Czarne włosy zsunęły się na czoło.

Ciszę przerwała druga kobieta, Alice, była żona Fredrika. To właśnie przed jej domem znalazła go załoga karetki. Leżał na środku Stollmakergata w dzielnicy Grünerløkka po dziurki w nosie napchany lekarstwami i nasączony alkoholem. Alice mieszkała tam z nowym mężem Erikiem.

– Hm... Co się stało, Fredrik? Andreas mówi, że kiedy się rozchodziliście, miał wrażenie, że wszystko jest w porządku. Czy to... – Głos Alice złagodniał. – Czy znowu chodzi o Frikka?

Fredrik miał z Alice dwójkę dzieci, nastolatków Jacoba i Sofię. Kiedyś mieli troje. Po śmierci Frikka w pożarze odczuwał bezdeny smutek. To przecież oczywiste. Minęło jednak dużo czasu, trzynaście lat. Już od dawna nie budził się codziennie ze skamieniałym z bólu sercem. Taśma

na bandażu szarpnęła włosami, kiedy zaprzeczył ruchem głowy.

Co się właściwie wydarzyło tego wieczoru prawie dwie doby temu? Nie pamiętał. To znaczy, coś tam pamiętał. Kolejny raz zakończyli z Andreasem śledztwo w sprawie złego traktowania dziecka. Jeszcze jedno z wielu dochodzeń z przemocą w rodzinie w tle, które stały się ich przeznaczeniem w Sekcji do spraw Przemocy i Przepęstw Seksualnych Okręgu Policji w Oslo. Znowu wyszedł z budynku komendy z czarną dziurą w piersi. Poszli na miasto wypić piwo i coś przekąsić – jedli, pili, a potem... potem wszystko się ze sobą zlało w jedną kakofonię głosów, syren, nieuchwytnego zmęczenia i gniewu. Szum. Nie był w stanie rozróżnić słów, jakiejś emocji czy nastroju. Póki sformułowania nie zaczęły się rysować na okiennej szybie, a on nie wrócił do siebie tutaj, w szpitalu.

– Co powiedziałaś dzieciom?

Alice mocniej ściągnęła koński ogon. Uderzyło go, jak bardzo są do siebie z Bettiną niepodobne. Obecna partnerka była drobna i ciemna, ekszona zaś pełniejsza i jasna. Z wyglądu i z usposobienia. Ale Bettina miała w sobie jakiś blask, wąskie, kuszące oczy, które zawsze budziły w nim pożądanie. Alice była bardziej... sympatyczna.

– Nic – odezwała się. – Zadzwoń do Sofii później w ciągu dnia. A Jacob... wyjechał przecież na weekend grać koncert, więc nie sądzę, żeby Bettina...

Sucha skóra zaszeleściła, kiedy Bettina zatarła dłonie. Gdy Sofia przeniosła się na studia do Bergen, szesnastoletni Jacob postanowił zamieszkać z ojcem.

– Nie – odparła krótko. – Porozmawiasz z nim sam. – Wstała. – Nie rozumiem tylko – rzuciła – dlaczego, u diabła, leziesz i kładziesz się na ulicy przed jej domem. – Machnęła

ręką, ale nadal się w niego wpatrywała. – Jakbyś był umierającym Indianinem albo co.

– Czułabyś się lepiej, gdybym umierał przed naszym domem?

– Tak.

## ROZDZIAŁ 4

Mimo deszczu ziemię na Bygdøy wciąż pokrywała cienka warstwa śniegu. Przez okno samochodu Kafa Iqbal widziała, jak znika biel, pozostawiając breję, której do wieczora także już nie będzie.

Detektyw się nie spieszyła. Ciepło pomyślała o trzęsącym się z zimna gwardziście u bramy wjazdowej do posiadłości króla i przyjrzała się fasadom w skansenie Muzeum Sztuki Ludowej, temu dziwnemu zbiorowi od Sasa do lasa – domów i budowli, chat zagrodników i kwartałów miejskich oderwanych od fundamentów i przeniesionych tutaj. Zwiedziła to muzeum raz, w czasach szkolnych, a myśl, która ją wówczas uderzyła, pojawiła się znowu – jakiż ten kraj był kiedyś biały. Śnieg, kolor skóry ludzi, nawet potrawy, które jedli: ziemniaki, sos na mące, mięso ryb. Ciekawe, kiedy zaczną przenosić do skansenu budy z kebabem, meczety albo fotografię *Turka na rogu*.

Jazda z centrum zabrała tak mało czasu, że wewnątrz auta dopiero się nagrzewało, kiedy w krajobrazie pojawiły się wille i wąskie uliczki. Na tym terenie mieszka kilku

najbogatszych ludzi w kraju, wystawiając na widok publiczny swoją szczęśliwość w postaci nieruchomości. Wille w stylu tyrolskim sąsiadują z bryłami nawiązującymi do funkcjonalizmu – nadmorska idylla południa Norwegii na sterydach, patologie starych pieniędzy i nagle utraconych petromilionów, cynicy i szczęściarze. Podkolorowani ludzie z niedożywionymi psami i przerośniętymi pojazdami.

Koło wzniesienia po wschodniej stronie półwyspu, na poboczu uliczki między willami stał radiowóz. Zaparkowała za nim i chwilę siedziała w samochodzie, wsłuchując się w bębnienie deszczu o aluminiową karoserię.

Wspomniała swoją pierwszą po przejściu do sekcji przemocy sprawę dotyczącą zabójstwa. Pracowała wtedy dla tego wysokiego chudzielca Fredrika Beiera. Był bystry, ale coraz częściej popadał w mroczny nastrój. Początkowo go lubiła. Bardzo. Coś ich jednak poróżniło. Teraz rzadko go widywała.

Kafa przesunęła dłonią po szyi i wzdłuż obojczyka. Obrzęk zszedł, ale wciąż bolało. Cholera. Nie będzie teraz o tym myślała. Nie teraz, bo ta sprawa była wyjątkowa. Ta śmierć należała do niej. To była jej pierwsza sprawa jako prowadzącej dochodzenie.

Gumką związała na karku długie ciemne włosy i chwyciła nieprzemakalną kurtkę. Przy bramie czekali dwaj mundurowi.

– Listonosz podejrzewał nieszczęście – odezwał się niski, szeroki w barach policjant.

Owłosioną dłonią wskazał skrzynkę na listy. Kafa zmrużyła oczy. Na mosiężnej tabliczce delikatnym pismem wygrawerowano nazwisko: Gerda Thrane. Osiemdziesięciopięcioletnia wdowa, jak się dowiedziała, i jedyna mieszkanka tej willi.

- Listonosz obsługiwał ten rejon od lat. Zareagował, kiedy pani Thrane przestała wyjmować gazetę. Drzwi wejściowe mają taką staroświecką szparę na listy. Pociągnął przez nią nosem i zadzwonił na policję.

- Byliście w środku?

- Tak. Niezły widok.

Policjant otworzył jej bramę, ale Kafa cofnęła się o kilka kroków i wzięła się pod boki. Pomalowana na złamany czerwony kolor drewniana willa kryła się przed ciekawskim okiem za zaniedbanym żywopłotem z berberysu. Do wejścia prowadziła aleja wysadzona brzoźami. Dom był wysoki, choć sądząc po oknach, niewiele więcej niż piętrowy. Nie rzucał się w oczy, wyglądał na solidny i dobrze utrzymany. Domyślała się, że miał widok na marinę w Langviksbukcie.

- Nie były zamknięte - wyjaśnił policjant, kiedy Kafa stanęła przed wejściem.

Zwędłe pnące róże wczepiły się w delikatny trejaż obok drzwi. Powinno się je przyciąć przed zimą.

Przedsiónek był przestronny, ale boazeria i tkaniny nadały mu przytłaczającą atmosferę. Już tutaj zapach uderzał w nozdrza. Kafie przestało się od niego robić niedobrze, ale wciąż budził nieprzyjemne uczucie. I dreszcz podniecenia. Strażacy nie lubią pożarów, ale lubią je gasić. Z nią też tak było.

Jesienne liście ze zwirowanej ścieżki przykleiły się do podeszew botków i kiedy pochyliła się, by nałożyć plastikowe ochroniacze, zauważyła, że policjant przygląda się jej pupie. Stał tam po prostu, jakby uważał, że jest mu winna podziękowanie za dotychczasową pomoc. Mruknęła mu coś przez zęby i zapatrzyła się w mrok za ornamentowanymi szybkami typu cotswoold w drzwiach, po czym popchnęła łokciem kłamkę.

Dom z zewnątrz wyglądał całkiem zwyczajnie, ale hol, do którego weszła, sięgał kalenicy, osiem–dziewięć metrów nad ziemią. Z sufitu zwieszał się wyszukany żyrandol. Ściany były wyłożone szerokimi tekowymi panelami, ale ekskluzywne drewno niszczyły krzywo wbite i wystające do połowy gwoździe. Były ich tu chyba setki. Nawet w drzwiach. Wyblakłe kwadraty, prostokąty i owale zdradzały, że na każdym z gwoździ wisiał kiedyś obraz, rama czy cokolwiek to było.

Wchodzenie w sferę intymną jest częścią pracy policjanta, lecz kiedy Kafa szła po dywanie w kolorze głębokiej czerwieni, który zasysał światło i dźwięk, czuła, jakby wdzieriała się w jakąś świętość. Pomieszczenie sprawiało wrażenie mauzoleum. Przed nią pięły się szerokie mahoniowe schody z niską lukowato wygiętą poręczą. Kończyły się na galerii obiegającej boki holu. Stopy zwłok znajdowały się kilka stopni powyżej podstawy schodów.

To był mężczyzna. Z dużą nadwagą, prawdopodobnie w średnim wieku. Z rysów twarzy zostało niewiele, bo leżał tu chyba już jakiś czas – na plecach. Miał na sobie przybrudzone granatowe spodnie od dresu. Uda i kostki napęczniały. Luźna koszula odsłaniała pozbawioną owłosienia klatkę piersiową i obrzmiały kark. Gruby zielonocarny palec wciąż trzymał porcelanowe uszko, reszta filiżanki do kawy leżała rozbita obok.

Kafa wzdrygnęła się, gdy policjant za jej plecami odchrząknął.

– Wygląda na to, że zwłoki mają głęboką ranę z tyłu głowy, tam, gdzie czaszka uderzyła o stopień.

Pochyliła się, żeby się przyjrzeć. Jasne włosy zrobiły się brązowoczarne od zakrzepłej krwi. Skóra zsiniała. Był bez butów, tylko w czarnych skarpetach tenisowych, przez dziurę w jednej wystawał poczerńiały wielki palec.

- Kto to jest? – spytała Kafa.

Policjant podał jej przezroczystą plastikową torebkę z prawem jazdy.

- Mikael Morenius – powiedział. – Ten człowiek nazywa się Mikael Morenius. Prawo jazdy znaleźliśmy koło kanapy w jadalni.

Kafa wzięła do ręki torebkę i podniosła ją w stronę żyrandola. Dokument wystawiono dziesięć lat temu, a fotografia przedstawiała mężczyznę poważnego, jasnowłosego i szczupłego.

- Przybyło mu tu i tam – skomentowała.

- Amen.

- Więc... upadł? To wypadek? Ale co on tu robi? W domu staruszki wdowy? Poza tym gdzie ona jest?

Policjant pokręcił głową.

- Dlatego powiadomiłem dyżurnego. Pani Thrane nie ma.

## ROZDZIAŁ 5

W dzień Fredrik chodził na spacer z Krezuską. Wieczorami przekradał się do kuchni, zabierał krzesło i siadał w korytarzu przed drzwiami do pokoju Jacoba. Opierał głowę o ścianę, prostował sztywniejące lewe kolano i słuchał. Minęły dwa tygodnie, odkąd wypisali go ze szpitala.

Krezuska była psem Bettiny. Nerwowa jak na spaniela, z częstymi rozwolnieniami i oskarżycielskim spojrzeniem. Smutnym, jak zwykła go poprawiać Bettina, a potem przesuwiała mu duże okulary w stalowej oprawce nad czoło, gładziła go po wąsach i dodawała:

– Jak twoje.

Zgadywał, że to Brahms, ale nie był pewien. Póki syn nie przeprowadził się do niego, Fredrik zakładał, że altówka to tylko hobby. Podobnie jak jego własne młodzieńcze grywanie na klarncie. Ale to było coś innego. Jacob uczył się w Akademii Muzycznej Beniamina Buego. Był utalentowany, jak się wyraził jego nauczyciel, wymawiając to słowo, jakby go paliło. Dodatkowe lekcje wypalały w każdym razie tysiące z portfela Fredrika. Kiedy jednak siedział

tak wieczorami w korytarzu, dochodził do wniosku, że nie najgorzej zainwestował.

Nie jest łatwo ojcu, gdy ma powiedzieć synowi, że pigułki w szafce nad umywalką są nowym rodzajem antydepresantów. Że snuje się w dzień po domu, bo pijany przedawkował lekarstwa. Tak więc słuchając gry syna, obracał w głowie wciąż nowe wyjaśnienia. Symulowane rozmowy kończyły się jednak zawsze w tym samym punkcie. Jacob pytał dlaczego. A Fredrik nie potrafił dać mu na to odpowiedzi.

Tego wieczoru po prostu wstał i zapukał do drzwi.

– Wiesz, dlaczego nie chodzę do pracy?

– Ojciec, nie musimy o tym mówić.

– Myślę, że chyba jednak musimy.

Jacob potrząsnął gęstymi ciemnymi lokami.

– Mama coś powiedziała? – Fredrik próbował się uśmiechnąć.

– Możemy pogadać kiedy indziej? Nie mam teraz ochoty.

– No dobra. Więc o czym pogadamy?

– Może byś sobie poszedł?

Nad biurkiem syna wisiało duże zdjęcie katedry w Tromsø, mieście, w którym Jacob i Sofia mieszkali, póki ich ojczym nie został dyrektorem w Ministerstwie Oświaty i cała rodzina nie wróciła do Oslo. Trójkątna bryła kościelnej budowli ze szklanym frontem i smukłym krzyżem emanowała światłem w zimową noc. W rogu znajdowała się wsunięta między szkło a ramę mała fotografia pulchnej, uśmiechniętej dziewczyny w dredach i z piegami.

– Kto to jest?

– Nikt.

– Nikt?

– Taka jedna ze szkoły. Irene.

– Aha. – Fredrik udał obojętność. – Co grasz?

Jacob przewrócił oczami. Założył słuchawki i podniósł z łóżka przerośnięte skrzypce.

- Kawalek z Brahmsa. Mam podkład na uszach – wyjaśnił, jakby ojciec przeniósł się prosto z późnego średnio-wieczna.

- Daj posłuchać.

- Tylko siedź cicho – rzucił Jacob, zamknął oczy i się zakołysał.

Był prawie o głowę niższy od Fredrika, ale mocniej zbudowany, miał więcej tłuszczu na ramionach, pupie i w pasie. Sylwetkę odziedziczył po matce. Wkrótce dorosły. Na razie wkrótce. Ton altówki wydawał się gniewny, niecierpliwy i brutalny.

Kiedy skończył grać, nie ruszył się z krzesła, nie zdjął słuchawek.

- Możesz już iść – powiedział.

W sypialni Fredrika światło było zgaszone, a plazmowy ekran u stóp łóżka rzucał na podłogę i ściany niebieskożółtą poświatę. Kolory te same co w studiu dyskusyjnym kanału telewizji. Mijał prawie rok, odkąd Simon Riebe został premierem rządu. Teraz lider partii Prawica z opuszczoną do połowy oka powieką pouczał swoich politycznych przeciwników na temat polityki obronnej. Kiedy Fredrik przesunął się przed ekranem, Bettina ściszyła dźwięk. Demonstracyjnie westchnęła, gdy się nie odezwał. W głowie brzmiała mu jeszcze piękna, choć mroczna melodia, którą grał Jacob. Przegonił z łóżka Krezuskę, ułożył się obok Bettiny, a ona jak zwykle oparła głowę na jego piersi i dłonią ujęła penis. Między ciemnymi pasmami jej włosów prześwitywała blada skóra. Przykrył ręką wytatuowanego zezującego orła na ramieniu, który zawsze wprawiał go w zły nastrój.

- Chcesz o tym porozmawiać? – spytała.

- O wydatkach z budżetu na obronę?

- Nie - parsknęła z irytacją.

Nie, nie chciał o tym rozmawiać.

Bettina siadła na nim. Zamknął oczy, ale nic z tego nie wyszło.

## **Nowa powieść autora *Naśladowców***

Fredrik Beier przekroczył swój próg wytrzymałości. Rozwód, śmierć dziecka, nieudane śledztwo, które pociągnęło za sobą wiele ofiar... Budząc się w szpitalnym łóżku, Beier wie, że kilka pigulek więcej popitych alkoholem i byłby już tylko legendą norweskiej policji.

Gdy udaje mu się wreszcie stanąć na nogi, jego partnerka Kafa Iqbal odkrywa cztery trupy w różnych dzielnicach Oslo. Na miejscu jednej ze zbrodni uwagę policjantki przykuwa zdjęcie dziewczynki podpisane „Kalipso”. Pojawiają się kolejne ofiary, a w ich mieszkaniach Iqbal i Beier znajdują taką samą fotografię.

Co oznacza tajemniczy podpis? Ceną za odpowiedź na to pytanie może być niejedno życie.

E-book dostępny na

**woblink.com**

ISBN 978-83-7515-159-6



Cena detal. 39,90 zł



 **lubimy czytać.pl**